

„Między Apokalipsą a czytałem” – z Tadeuszem Konwickim rozmawia Jerzy Markuszewski

I

Jerzy Markuszewski: We wszystkich twoich książkach bohaterowie, mimo że to różne postacie, są w jakimś sensie do siebie podobni. I można by powiedzieć o nich, że są podróżnikami, pielgrzymami bądź uciekinierami.

Tadeusz Konwicki: Mnie się wydaje, że parę rzeczy się składa na wizerunek tych bohaterów, którym ja towarzyszę czy oni mnie towarzyszą w moim pisaniu. Mnie się wydaje, że mój bohater jest w jakiś sposób formowany przez czas historyczny, w którym żyje; w jakiś sposób jest w konflikcie z tym czasem. Czyli mój bohater robi wrażenie pasywnego, jego pasywność jest jednak pewnym oporem wobec świata totalitarnego, w którym przyszło mu żyć w tej części XX wieku.

Ale my przecież wiemy, że ta historia też trochę gnąta moje pokolenie. Nie tylko zresztą po kraju, ale bardzo często wypędzała na inne kontynenty. Dlatego ten etos, mówiąc patetycznie, człowieka, który wędruje – musi wędrować – z miejsca na miejsce, a który moglibyśmy nazwać podniosłe etosem pielgrzymim, jest właściwy naszemu pokoleniu. A też dla losu polskiego; zresztą bardzo często związane to jest z walką o Polskę czy o polską tożsamość.

To można nawet w pamiętniku Jessiki Conrad, żony Conrada, wyczytać. Tam ona opisuje taki incydent, że w piątek wieczorem nagle ktoś się dobija do drzwi, ona otwiera – stoi trzech facetów w długich płaszczach, z teczkami. Nie mogąc się z tymi facetami porozumieć – to są jacyś cudzoziemcy – ona woła męża, mąż schodzi i powiada: na trzy dni zamykamy się, proszę nie przeszkadzać. Ona pisze, że minęła sobota, a w niedzielę rano oni zniknęli, i opisuje to jako wydarzenie magiczne, jak przybycie trzech króli czy Cyryla i Metodego, jako nadzwyczajne wydarzenie – a my wiemy, że to byli Polacy na delegacji, którzy przyszli, załatwili jakąś sprawę, może gołnęli przy okazji, zniknęli.

Robiąc film według Miłosza, *Dolinę Issy*, uściłowalem motyw tej wędrowki, tego dążenia gdzieś, marszu po coś, w jakiejś sprawie, zaznaczyć. Wiersze Miłosza wygłaszają w cywilu jakby wychodzący z ekranu aktorzy, i nawet pilnowałem, żeby oni na ekranie szli ze wschodu na zachód. Już nie mówię o tym, że puentuję Amerykę, czyli tym jakimś losem wędrowca Miłosza.

Dlatego też, powiedzmy sobie otwarcie, moi bohaterowie nie mają na ogół rodzin. Nie wiadomo, jakiego są stanu, czy są kawalerami, rozwodnikami, wdowcami, czy mają żonę i kupę dzieci, ponieważ w moich upodobaniach nie leży obciążać obyczajowością, rodzajowością bohatera, ale też chyba to się tłumaczy tym przesłaniem wędrowca. On nie może być obciążony domem, sprawami, podatkami, płaceniem czynszów, on musi być w jakiś sposób wyizolowany z tej dosłowności, żeby mógł znaczyć jako nosiciel tego czegoś polskiego.

Jerzy Markuszewski: Z tego, co mówisz, wynikałoby, że bardziej się identyfikujesz z pielgrzymem niż z uciekinierem.

Tadeusz Konwicki: Aż się prosi, żebym ja się podawał za wykorzenionego skądś, za uchodźcę, za tego, który musiał opuścić kraj dzieciństwa i młodości. To jest ma-lownicze literacko, ale ja w jakiś sposób się temu przeciwstawiam wewnętrznie. Myślę, że bierze się to z pewnej mojej manii, z pewnej mojej bardzo silnej skłonności, żeby się czuć uczestnikiem całej wspólnoty.

Ja dość dużo podróżowałem. Taki niby siedzący w swojej nędzy na tyłach Nowego Świata, niby taki tutejszy – o dziwo, ja jakimś skokiem, bokiem, objechałem ten świat, a nawet zatoczyłem pełną pętlę dookoła świata: od Warszawy przez Azję, Australię, Hawaje, Amerykę, Anglię, z powrotem do Warszawy. I z tego samolotu, zresztą jednego z doskonałych samolotów linii australijskich, zobaczyłem to, co wielu ludzi przede mną zobaczyło: że świat jest nieduży, że pożera się całe kontynenty i całe oceany w ciągu kilku czy kilkunastu godzin czytania gazet albo oglądania filmów w samolocie. Dlatego być może we mnie się obudziło to jakieś poczucie wspólnoty ze wszystkimi i dlatego ja nie jestem wzorowym patriotą wileńskim i nie jestem wzorowym patriotą naszego kraju. Słusznie mój kolega, młodszy literat, kiedyś o mnie wspominał, że ja nie jestem literatem kresowym, ja jestem literatem pochodzącym z Kresów.

To znaczy ja bardzo jestem przywiązany i niezwykle pracuję nad tym regionem, a szczególnie nad Kolonią Wileńską, którą doprowadziłem do tego stanu, że na różnych egzotycznych kontynentach różni tubylcy, Aborygeni powołują się na swój rodowód z Kolonii Wileńskiej. A osiągam to też w ten sposób, że na przykład, kręcąc *Dolinę Issy*, nabywszy w Suwałkach masę takich jarmarcznych kwiatów z bibutek, własnoręcznie ma-ilem ten magiczny pejzaż suwalski, bo jeszcze mnie się wydawało, że za mało ma czadu, że jeszcze jemu trzeba dodać niezwykłości. Ale mimo że mnie się wydaje, że ten region – region brzegu lodowca, który stał aż do siedmiu tysięcy lat przed nami, czyli bardzo długo – naprawdę jest w jakiś sposób niezwykły i mający wpływ na ludzi, więc mimo tych wszystkich uwarunkowań i ogromnego przywiązania do tych miejsc, gdzie w życiu zasiadłem na jakiś czas, ciągle się przyznaję do, wstyd powiedzieć, kosmopolityzmu. Być może z jakiegoś wyrachowania, ale takiego ogólnego – żeby było dobrze, żeby suma naszych poczynań na świecie była w porządku.

Jerzy Markuszewski: No właśnie, ale również przyznajesz się do tego, że gdzieś tam jest w tobie ten zapiekły Polaczek.

Tadeusz Konwicki: Z którym, mówiąc szczerze, jak nas nikt nie słyszy, ja walczę. Ogromnie się hamuję; choć jestem z natury kibicem i ta nasza społeczność – która miała ciężki los i w każdym starciu staje na straconej pozycji, czyli na pozycji słabszego – budzi we mnie emocje kibica.

Po doświadczeniach tego regionu wileńskiego czy dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, gdzie jednak w końcu ludzie się zaczęli między sobą mocno bić pod koniec II wojny światowej, nabrałem urazu i boję się, żeby nigdzie, w żadnym miejscu nie podsycić przypadkiem naturalnego konfliktu, który występuje między

różnorodnościami, tak jak u nas na Wileńszczyźnie – religijnymi, obyczajowymi, językowymi, plemiennymi. Dlatego ja cały czas, jak widzisz, mam nogę na hamulcu i nieraz wypowiadam się troszkę wbrew sobie.

Jerzy Markuszewski: Jak się czułeś, kiedy pojechałeś ostatnio na Litwę?

Tadeusz Konwicki: Powiem otwarcie, że wolę ten kraj ze swojej pamięci niż rzeczywisty, który widziałem teraz, kiedy byłem parę razy w Wilnie i który jest jednak oszpecony przez cywilizację tak zwaną radziecką, a też jest jednak, no, zasiedlony przez innych ludzi. I mimo że ci ludzie jakby w milczeniu się poruszają – chodzą po mieście, jadą tramwajami, coś robią – czuje się jakąś inność. Tak że mnie się wydaje, że powroty w ogóle nie zawsze się udają.

Jerzy Markuszewski: Przymusowe przesiedlanie ludzi nigdy nie może stworzyć prawdziwej, odpowiedzialnej społeczności. W tym tworze zawsze obecna będzie ogromna podejrzliwość pomiędzy ludźmi.

Tadeusz Konwicki: Tu muszę jeszcze dorzucić, że jeśli tak zamknę oczy i przypominam sobie młodość, lata wojny, to przede wszystkim widzę masę ludzi z tobołkami. Albo bez tobołków, ale gdzieś szybko idących czy biegnących. Muszę ci powiedzieć, że przez Wileńszczyznę przemknęło sto tysięcy Włochów z frontu wschodniego. Ja już nie mówię, ile napatrzyłem się dywizji SS, złożonych z ludzi z różnych krajów europejskich – jako człowiek dobrze wychowany nie przytoczę, jakie to były nacje, ale byłyby dla ciebie dość zdumiewające. One się odróżniały tym od niemieckich formacji, że miały na takiej tarczy na rękawie barwy narodowe.

No, widziałem też uciekających tak zwanych bolszewików, co miało nawet wymiar jakiś magiczny i wstrząsający. Ponieważ oni obiecywali, że wrócą. I dotrzyмали słowa.

II

Jerzy Markuszewski: W twoich książkach znajdujemy zapowiedzi śmierci wielkiego mocarstwa, przy okazji których pisałeś i o przyszłych losach mniejszych państw, dla których ten upadek jest szansą, ale jednocześnie zagrożeniem.

Tadeusz Konwicki: Myślę, że to się wiąże z pewną znajomością praw historii i pewnymi konsekwencjami, które można przewidzieć.

Przypominam sobie lata wojny, kiedy my, tacy młodzi maturzyści, bawiliśmy się w partyzantów. I pamiętam takie noce partyzanckie na Wileńszczyźnie, takie gwieździste noce, kiedy leżało się gdzieś na mchu czy na jakichś trawach i się mówiło o życiu i o tym, co nasza generacja, nasze pokolenie ma do zrobienia. Nam się przede wszystkim wydawało zupełnie absurdalne i niezrozumiałe, że ludzie dotychczas, do naszego czasu, nie potrafili życia ułożyć na Ziemi rozsądnie. Nam się wydawało to takie proste i takie naturalne. Jak tylko się ta wojna skończy, będziemy się starali urządzić świat racjonalnie i nam się to uda.

Nie umiem wytłumaczyć tego pewnego optymizmu pokolenia, które wchodziło w życie w momencie największego ludobójstwa, najokrutniejszej wojny. Być może to prawda, co powiadał Cat-Mackiewicz, że są pewne generacje, tak jak są lata urodzajów

w przyrodzie. Nie wiadomo, dlaczego jakieś pokolenie nagle ruszyło do Ziemi Świętej i odbyły się te dziecięce krucjaty. Albo nie wiadomo, dlaczego przyszła jakaś zapaść czy jakaś nerwica całej epoki. Tak mi się wydaje, że myśmy też byli w jakiś sposób zakodowani przez naturę do pewnej ochoty, żeby ten świat uczynić lepszym.

Zresztą ten XX wiek jest ciekawy. Jest ciekawe – i do ciebie to mówię, jako do czytelnika tych wszystkich książek popularyzatorsko-naukowych – że pojawiła się dziewiątka w naszych datach. Dziewiątka oznacza jakieś połączenie, jedność nieba z ziemią, jest cyfrą mistyczną. A tu za naszego życia przyłączyła się druga dziewiątka, i trzecia dziewiątka nam zagraża. Czyli z tego wynika, że to, co wróżki, stare baby, mówiły – że to przyniesie ze sobą odrodzenie duchowości, metafizyki, mistycyzmu – zrealizowało się w nieoczekiwany sposób, jesteśmy teraz tego świadkami.

Jerzy Markuszewski: Zgadzam się z tobą, że jest teraz wielki wzrost potrzeby duchowości, przeżyć metafizycznych. Ale jest też druga strona medalu: ludzie zmęczeni walką, po długim biegu, kiedy przeciwstawiali się złu, nie mogą jakoś upilnować, żeby to zło w innej formie nie wracało. Czy mamy w sobie odpowiednią ilość antycyjał?

Tadeusz Konwicki: Ja oczywiście uciekam świadomie od sedna tego pytania, ponieważ musiałbym wkraczać na teren polityki, a nie mam po prostu jakiejś wewnętrznej ochoty do tego. I chciałbym spróbować zamknąć to pytanie takim komentarzem, że nasze perturbacje, nasze tutaj walki, nasze uniesienia i klęski nałożyły się na dziwny w ogóle czas w dziejach Europy. Mianowicie na okres przede wszystkim wielkiego skoku cywilizacyjnego, szalonej demokracji, można nawet tak powiedzieć – szalonego zdemokratyzowania się życia. Upadek kolonializmu. Ogromne rzesze, miliony ludzi mogą dostąpić uczestnictwa w ogólnym życiu. Masy ludzi, uchodźców czy dobrowolnych podróżników, przyjeżdżają do Europy, chcą we wszystkim uczestniczyć. Odczuwamy, że coś się zmieniło w naszym życiu globalnym (zobaczmy, co się dzieje w Ameryce), i na to się nakłada nasza prywatna sprawa polska, to znaczy odzyskanie, powiedzmy sobie, niepodległości.

Od razu z tego marszu dostaliśmy się w sytuację pewnej rozpaczy intelektualnej i moralnej, która biegnie przez świat, pewnej niepewności, pewnej anarchii, pewnych upadków wartości, zachwiań moralnych. Tak że nasza sprawa nałożyła się na pewien kryzys, który jedni nazywają New Age, inni – momentem wielkiego skoku w mentalności ludzkiej, a nawet pewni uczeni – o tym wiem z książek, które mi podsuwasz – przewidują otwarcie się nowej, doskonalszej świadomości.

Jerzy Markuszewski: Pewien młody człowiek robił ze mną wywiad i bardzo mu się podobała *Podróż* [Dygata – red.], podobał mu się *Kompleks polski*, ale zadał mi pytanie: dlaczego pan wraca ciągle do opisu PRL-u? Odpowiedziałem mu po zastanowieniu, że jeśli myśli, że PRL nie jest również jego przeszłością, to się grubo myli. Co ty o tym sądzisz?

Tadeusz Konwicki: Oczywiście, w takim momencie transformacji żyjemy w ogromnym zgiełku demagogicznym. Właściwie w tej chwili wszystko się odnosi do polityki w sposób gazetowy, wszelkie interpretacje życia, sztuki, zachowań, obyczajowości natychmiast są opatrywane bardzo doraźnym i ryzykownym sloganem demagogicznym.

Literatura ostatnich pięćdziesięciu lat jest literaturą, jest po prostu zapisem dziejów, historią losów ludzkich. A w jakich to się działo warunkach – po prostu tworzy epokę. Tak jak Balzak opisywał swoje czasy, Żeromski opisywał okoliczności, w których żył razem ze społeczeństwem, tak myśmy opisywali świat, w jakim żyliśmy. I ja kiedyś powiedziałem o wojnie, którą się zawsze na baczność wspomina jako krwawą martyrologię, czas strasznie podniosły i napięty, że to był czas naszej młodości. My, należąc do konspiracji, chodząc na tajne komplety i wykonując konieczne czynności jako młodzi żołnierze czy harcerze, jednocześnie graliśmy w piłkę, jak się dało, kąpaliśmy się i, co najważniejsze, lataliśmy na randki. Nasza młodość była młodością. Ona była oświetlona pożarami, gdzieś w tle słychać było strzały, ale ona była częścią naszego życia. Tak że trudno tu się wdawać w nalepianie etykiet, bo nie można przekląć własnego życia.

Jerzy Markuszewski: Twoje pokolenie starało się przenieść w sobie tradycję przedwojenną, którą było nasiąknięte.

Tadeusz Konwicki: Myśmy byli, przypuszczam, nawet specjalnie wychowani przez ówczesne społeczeństwo, które podświadomie czuło, że się zbliża następny kryzys dla tego kraju. Dlatego mogliśmy w momencie wojny stanąć, tak jak umieliśmy, w jego obronie.

Jerzy Markuszewski: Myślę jednak nie tylko o tej tradycji, która zaczęła się w 1918 czy 1920 roku, myślę o ciągłości tradycji, o romantyzmie i o całym okresie zniewolenia. I dziś przecież od tego nie da się odciąć, jakbyśmy odcinali to toporem.

Tadeusz Konwicki: Ale ja się lękam pedagogiki. W tym, co mówisz, jest pewien zamiar pedagogiczny, z liniijką w rękę chciałbyś gonić ich do tradycji i do historii. Mnie się wydaje, że będzie się to układać w sposób naturalny, być może te młode pokolenia są tak zakodowane, żeby uwolniły się z naszego czadu. Być może potrzeba jest taka, żeby młode pokolenia rozluźniły te rygory – bo my jesteśmy przez ten romantyzm jeszcze, do końca, trzymani za gardło – i przez to rozluźnienie poczuły pewną wspólnotę z całą społecznością globalną. Może to jest konieczne. Przypuszczam, że gdyby znowu były okoliczności dla nas niepomyślne, obudziłyby się te gruczoły czy te regulatory w naszym życiu społeczno-intelektualno-moralnym, które ponownie uczuliłyby młodzież na los kraju.

Jerzy Markuszewski: Nie chcę powiedzieć, że ta młodzież jest gorsza od nas, kiedy byliśmy młodzi, tylko dlatego, że się czepia o PRL.

Tadeusz Konwicki: To jest wszystko przedmiotem gry politycznej. I oczywiście przy napiętych okolicznościach w Polsce, gdzie co chwila wybory, gdzie co chwila jakieś balotaże, to jest dosyć rozdymane. Tak jak w ogóle gra na martyrologii. Każdy z ludzi skłonnych do polityki chce coś wygrać. Ja tego bym nie demonizował.

III

Jerzy Markuszewski: Bohater jednej z twoich powieści – nazywający się Konwicki – wyznaje, że ma skłonność do nieco tajemniczych kobiet.

Tadeusz Konwicki: Najpierw objaśnię, dlaczego ja miałem czelność na przykład w *Kompleksie polskim* wystąpić jako bohater czy też bohatera obdzielić swoimi danymi z dowodu osobistego.

Otóż ja w którymś momencie poszedłem jakby za instynktem swojej wyobraźni i przestałem korzystać z dosłownego swego życiorysu, dość daleko odszedłem w, tak zwaną patetyczność, kreacyjność. Ale ponieważ zorientowałem się po drodze, że w tej chwili premiowana jest literatura faktu, wobec tego do tej gry wyobraźni zacząłem dawać elementy jakby osobiste, żeby zachęcić czytelnika, przekonując go, że to jest bardzo prawdziwe albo bardzo bliskie prawdy.

Z tego mojego upodobania literackiego wyszły też moje kobiety. Ale one nie są tylko moje, bo ty, który inscenizowałeś *Dygata*, musiałeś spostrzec podobne upodobania nasze, *Dygata* i moje. Ja nawet przyznałem się gdzieś, że dałem znak w *Czytadle* *Dygatowi*, że jestem, że pamiętam i że chcę go w jakiś sposób uczcić. W *Czytadle* wątek romansowy jest oparty na podobnym chwycie literackim jak w *Podróży*: na pewnej dwoistości kobiety, pewnej tajemniczości, pewnej niemożności i braku potrzeby odczytania kobiety do końca. Kto wie, czy to się nie wiąże z pewnymi ukształtowaniami generacji. Pamiętaj, że myśmy byli chowani na pewnych modelach kobiet. Jeśli sięgniesz do filmu amerykańskiego jeszcze lat 50., zobaczysz *Avę Gardner* czy *Ritę Hayworth*, zobaczysz, że to są kobiety – prawdziwe, na pierwszy rzut oka rozpoznawalne jako kobiety. Bo teraz czasem mnie na przykład żona pyta, jak idziemy i widzimy jakąś parę: czy to są mężczyźni, czy to jednak para, dziewczyna z chłopakiem? Kiedyś kobieta miała pewną wyrazistość w swojej magii płciowej, a zarazem kobieta była jakimś rywalem w tym wielkim pojedynku miłosnym, w tym wielkim trudzie miłosnym. Nam było miłej, przyjemniej widzieć tę dziewczynę w błysku niezwykłości, urody, jej własnej tajemnicy, która zasadzała się też na wewnętrznej godności, na przeświadczeniu o tym czymś tak strasznie ważnym od początku, od wielkiego wybuchu tego pierwiastka kobiecego. No, możesz nawet przypomnieć jeszcze czasy *Marleny Dietrich*.

Właściwie powinienem się teraz zarumienić, bo w dzisiejszej konwencji jest to nie tylko staroświeckie, ale jakieś infantylne, jakieś ogromnie naiwne, co ja mówię. Ale w moim życiu jest to ważne. Nie byłem w stanie – nawet teraz nie jestem w moim wieku w stanie – wyrzec się takiego patrzenia na kobiety.

Jerzy Markuszewski: Wydaje się, że w opisach kobiet w twoich książkach i opisie relacji tych kobiet z otoczeniem, mimo pozorów, że chcesz to rozjaśnić, rozświetlić, te kobiety coraz więcej ukrywają.

Tadeusz Konwicki: Nawet są tacy, a jest ich niemało, którzy uważają, że to jest ułomny wątek mojej literatury. Im brak pewnej soczystości obyczajowej, brak im fusów codzienności, brak jakiejś koniecznej widocznie pospolitości. Ale ja od tego uciekam świadomie.

Jerzy, to, co nazywamy miłością, stanowi – i przyznają to niektórzy biologowie czy psychologowie – nasz bardzo ciekawy, oryginalny dorobek. Na tym instynkcie prokreacyjnym wybudowaliśmy ogromny świat. Jeślibyśmy spojrzeli na literaturę,

i to od samych początków: no jednak to jest potężne gmaszysko naszych starań, naszych myśli, naszej wyobraźni, naszej najlepszej woli, naszego altruizmu. Jest to poza tym pojedynek – wracam do tego wątku – pojedynek dwojga ludzi, walka o jakieś imponderabilia, dla nas tak strasznie istotne. I dlatego człowiek mimo woli ucieka od rzeczy pospolitych. Istotne przynajmniej dla mojego pokolenia, które wyrastało jednak, jak mówiliśmy, pod silną presją romantyzmu i dlatego trudno by było nam się wyrzec tego i przejść na tę łatwą miłość. Ja właśnie wczoraj widziałem czternastolatków, którzy się obtapiali w autobusie. Człowiek się lęka, żeby nie być starym moralizatorem, żeby nie nudzić, że za moich czasów, panie dziejku, bywało inaczej, ale jednak zastanowiłem się, czy ta tak wczesna inicjacja w ten najsztubtelniejszy zakres naszego bytowania – czy to jest dobrze, czy źle.

Ja osobiście cierpię z powodu wybuchu mody w amerykańskim filmie – który 30 lat temu nie mógł pokazać uda kobiecego od wewnętrznej strony, bo cenzura to skreślała, a w którym teraz mamy tryumfalizm wolności i całymi długimi sekundami, minutami ślinię się bohaterowie. Myślę o pocałunkach, które są zjadaniem się, obslaniem się, czymś dla mnie strasznym, fatalnym – ale nie w tym sensie, że jestem dewotem, tylko że narusza się pewne tabu. Ja jestem zdania w ogóle, że jeśli nie będzie cenzur zewnętrznych, społecznych, publicznych, zawsze będzie rodzaj może nie cenzury, ale taktu, przyzwoitości artysty. I myślę, że najczęściej się to będzie odnosić do tej sfery właśnie uczuciowej, do pewnego tabu, do pewnego prawa człowieka do tej ostatecznej intymności. Oczywiście my wiemy, że zawsze są śmiałkowie, którzy z krzykiem tryumfu burzą to, no ale za daleko nie można pójść w tej śmiałości już czysto biologicznej i czysto seksualnej; jednak większe są obszary do budowy tej jakiejś naszej ludzkiej poezji w sferze uczuciowej.

Jerzy Markuszewski: Myślę, że tak to bywa, że odwet na cenzurze zawsze idzie zbyt daleko. Ale czy sądzisz, że film był pierwszy w śmiałości, a literatura podążyła za nim, czy literatura była pierwsza.

Tadeusz Konwicki: Literatura, oczywiście. Ponieważ literatura ma parę tysięcy lat, a biedny film obchodzi w tym roku stulecie. I też zresztą jakby trochę się chyli ku upadkowi. Myślę, że tak się stało filmowi, że się przegryzł jakby na drugą stronę.

Jerzy Markuszewski: Powiedziałbym, że o wiele łatwiej jest znieść nawet brutalny opis, jeżeli go się czyta w książce, ponieważ z książką obcuje się intymnie. Film, cała sztuka wizualna, szalenie konkretyzuje te sprawy, udostawnia – i nie mamy gdzie uciec.

Tadeusz Konwicki: Tak, literatura współpracuje bardzo intensywnie z wyobraźnią odbiorcy, a film komunikuje, przedstawia, dlatego literatura na więcej mogłaby sobie pozwolić.

IV

Jerzy Markuszewski: Szanowny panie Konwicki, chciałbym panu zadać parę pytań. Przekonamy się, czy zdałby pan maturę z pytań dotyczących pańskich książek. Na pierwsze: „*Mała Apokalipsa* – brak nadziei czy zachęta do działania?” – ma odpowiedzieć osiemnastoletni człowiek.

Tadeusz Konwicki: Zachęta do działania. Przez negację, chęć obudzenia sprzeciwu, buntu, podrażnienia, prowokacji. Ja mam w sobie instykt prowokatora, który w literaturze, w tym, co piszę, jest widoczny. To znaczy, chcę nie bezpośrednio apelem, ale formą zagrania na ambicji, na poczuciu sprawiedliwości, na poczuciu ładu czytelnika wywołać odruch buntu.

I mnie się wydaje, że tak to realizowałem. Że przypomnę *Kompleks polski* i opowiadanie o powstaniu styczniowym, które kończę pytaniem: „Czy warto było?”. Czy warto było tyle włożyć energii, ofiar, krwi, dla przegranej. Mnie się wydaje, że z tego wynika przestanie – że tak. Łącznie z opowiadaniem o Traugutcie, który też jedzie, żeby objąć kierownictwo Rządu Narodowego, jedzie właściwie na śmierć.

Jerzy Markuszewski: Panie Konwicki, a teraz drugie pytanie. „Problematyka polityczna w literaturze powojennej. *Popiół i diament, Matka Królów, Mała Apokalipsa*”.

Tadeusz Konwicki: To jest strasznie wszystko skomplikowane. Dlatego że w to, co my nazywamy polityką, wchodzi takie składniki, jak poczucie moralności, poczucie estetyki, poczucie przyzwoitości, poczucie honoru – wiele czynników, które się składają na nasze życie. Więc mnie się wydaje, że polityczność jest w tym zawarta, co nazywamy sprzeciwem wobec tendencji totalitarnych, którymi przesiąknięty był cały XX wiek, a ja się obawiam, że w przyszłości to nam też grozi. Ponieważ ogromne masy ludzi, te gigantyczne społeczeństwa, muszą być jakoś zarządzane i każda władza będzie miała pokusę uproszczenia sobie pracy.

Tu przypomnę sprawę Chin i wypadków na słynnym placu Niebiańskiego Pokoju. Otóż tu widzimy załęczkę przyszłości: jak tymi tak różnorodnymi masami rządzić? A niewątpliwie tendencja do trzymania tego w jakichś korbach będzie nieustanną pokusą i przypuszczam, chociażby patrząc na wszystkie ekstremy prawicowe w każdym kraju, że ten problem będzie stale aktualny.

Jerzy Markuszewski: Tak, Tadeuszu, ale mnie przy tym pytaniu zastanawia już samo połączenie trzech księzek, z których dwie pierwsze były pisane z myślą o wydaniu oficjalnym, natomiast *Małą Apokalipsę* pisał autor wolny, który zdecydował się wydawać poza cenzurą.

Tadeusz Konwicki: Nie chciałbym być zrozumiany, że się pysznię w stosunku do kolegów, którzy wcześniej pisali swoje książki...

Jerzy Markuszewski: Ja rozumiem i nie to miałem na myśli. Zawsze byłeś człowiekiem bardzo skromnym i...

Tadeusz Konwicki: Kiedyś Churchill powiedział o premierze Wielkiej Brytanii, że pan Attlee mówi, że jest skromny, i ma po temu powody.

Jerzy Markuszewski: To może trzecie pytanie, panie Konwicki. „Stosunek do romantyzmu w twórczości autorów współczesnych. Konwicki, Miłosz”.

Tadeusz Konwicki: Hm.

Jerzy Markuszewski: No, już dwója.

Tadeusz Konwicki: Absolutnie bezradny. Podniósłbym dwa palce i zapytał pana nauczyciela, czy mogę wyjść.

Jerzy Markuszewski: Pytanie numer 4. „Stosunek ekranizacji do tekstu literackiego na przykładzie twórczości Andrzejewskiego i Konwickiego”. Czy tu chodzi o filmy, jakie robiono z twojej i jego literatury? Szczerze powiem, że nie bardzo rozumiem to pytanie.

Tadeusz Konwicky: Ja też. Tym bardziej jestem w kłopotcie, że mam dość skromne doświadczenie, skoro poza tym, co ty robiłeś w telewizji ze mnie, jeszcze tylko Wajda zrobił *Kronikę wypadków miłosnych* i Costa Gavras *Matą Apokalipsę*.

Ale ja jestem byłym kierownikiem literackim zespołu filmowego, wobec tego mam pewien swój program i pogląd na te rzeczy. Uważam, że ścisła, dokładna ekranizacja jest niecelowa – albo pobudki finansowe kierują adaptatorami, albo chęć przełożenia na uproszczoną formę komunikacji artystycznej jakiegoś utworu literackiego. Mnie się wydaje, że ekranizacja wtedy ma sens, kiedy tak zwany utwór literacki reżysera zainspirował. To znaczy dał mu do myślenia, pobudził jego wyobraźnię i on robi swój własny, osobisty wariant tego czegoś, co mu zaproponował literat. Wtedy może być to twórcze, wtedy to może być ciekawe i posuwające sprawę dalej.

Jerzy Markuszewski: Moim zdaniem literatura jest o wiele pojemniejsza niż jakakolwiek adaptacja. Chociaż... bo ja wiem? Ty sam przecież zrobiłeś *Lawę* według *Dziadów*.

Tadeusz Konwicky: Otóż chcę tutaj zauważyć – ze swego doświadczenia coś powiedzieć – że tak się tylko wydaje, że literatura jest pojemniejsza. Że jest odbierana w ciszy i spokoju, mająca dziesiątki możliwości pobudzenia wyobraźni czytelnika i jego emocji. Film ma potężną siłę skrótowości. W filmie ujęcie nieniosące żadnej fabularnej treści może nagle ogromną emocję wzbudzić w widzu. Pamiętam taki film któregoś z reżyserów francuskich, *Jules i Jim*: siedzą przy stole dwie pary i dziewczyna wstaje od stołu, i chwileczkę idzie dookoła tego stołu, kamera ją prowadzi. To jest ujęcie, które daje w jakimś sensie nawet intelektualnym, a przede wszystkim emocjonalnym, tyle co ogromny rozdział w powieści. Więc film ma jakąś potężną siłę symbolu, o którym się tak dzisiaj powszechnie mówi.

Jerzy Markuszewski: Piąte pytanie, panie Konwicky. „Postawa twórcy wobec systemu totalitarnego. Konwicky, Herling-Grudziński”.

Tadeusz Konwicky: Czy ja też mogę zadać pytanie w tej rozmowie?

Jerzy Markuszewski: Tak?

Tadeusz Konwicky: Czy ty wymyśliłeś sobie taką maturę, czy to jest oparte na jakichś...

Jerzy Markuszewski: Ależ to jest prawdziwe!

Tadeusz Konwicky: Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Tym bardziej, że te pytania jakby odciągają od literatury, prowadzą w jakąś taką dla mnie nie najsympatyczniejszą stronę interpretacyjną.

Mnie się wydaje, że opór przeciwko totalitaryzmowi jest w każdym człowieku, tak że to nie jest jakiś specjalny wyróżnik dotyczący paru polskich autorów, ale ten opór przebiegał przez całe nasze życie społeczne. Nie tylko przez literaturę czy film,

on przebiegał przez kabaret, przez piosenkę, przez malarstwo, przez mody, przez zachowania, przez sposób ubierania się. Przez pewną negację w każdym momencie naszych zachowań społecznych.

Jerzy Markuszewski: Ale jeżeli autor żyje, to ktoś, kto formułuje takie pytania naturalne, nauczyciel, mógłby chyba je skonsultować z żyjącym autorem?

Tadeusz Konwicki: Jest powszechnym zwyczajem i pewną manierą pisanie, mówienie źle o szkole. Ja należę do tych, którzy ogromnie wiele szkole zawdzięczają i z najwyższą miłością wspominają niektórych swoich profesorów. Wobec tego trudno ode mnie wymagać, żebym ja pouczał nauczycieli, napadał na nich. Teraz czytam, że w ogóle warto zlikwidować lektury szkolne, biologię, matematykę, historię – bo to trudne. Młodzież chciałaby zlikwidować szkołę, ale przecież wiemy, że nie pojedziemy dalej. Myślę, że zawsze będą pewne ułomności, zawsze będzie chęć uproszczenia. Bo każdy usiłuje wszystko uprościć, to jest w instynkcie człowieka. Ale mnie się wydaje, że w tym ruchu pedagogicznym co rusz się człowiek natyka na wybitnych pedagogów, w niedużych szkołach, w prowincjonalnych szkołach. Chodzi o to, by dać nauczycielom trochę więcej wolnej ręki.

A słyszę, że tak jest. To znaczy są propozycje kierunkowe, ale na przykład autorów mogą sobie jako egzemplifikacje wybierać swoich własnych. Zresztą ja, biedny, nie tylko z nakazu byłem, jak teraz, czytany, ale swego czasu nauczyciele cichcem o mnie wspominali w szkole, kiedy na ogół wyglądało, że umarłem dawno, jak przez dziesięć lat wydawałem w podziemiu i te moje książki dochodziły tylko do elit, głównie warszawskich.

Zawsze były te biadania. Najbardziej się naigrawał z tego pan Witold Gombrowicz, a teraz młodzież jest męczona jego książkami. Chciałbym zobaczyć jego minę, jak by wszedł do tej klasy i zobaczył, że jest wałkowany, tak jak dawniej wieszczowie.

V

Jerzy Markuszewski: Bohaterowie twoich książek ulegają pewnemu rozwojowi, jeżeli chodzi o pojmowanie śmierci. Coraz bardziej zbliżają się do kosmicznego pojmowania śmierci – nie mówi się o śmierci, ale raczej o rozproszeniu w kosmosie. Ta śmierć jest może bardziej metafizyczna niż fizyczna.

Tadeusz Konwicki: Przedtem mówiliśmy, że bohater jest wyizolowany z potoczności życia. Tak samo spostrzegłem u siebie w odpowiednim momencie swego życia i swojej kariery, że mam nieustanną skłonność, by spojrzeć na swoją miejscowość czy na swoje miasto, czy na swoje życie z lotu ptaka. Najpierw się tym ogromnie speszyłem, ponieważ zacząłem podejrzewać, że może to jest inklinacja odrobinę grafomańska, ale potem, czytając jakichś historyków literatury, zrozumiałem, że jest to pewien sposób czy pewna zdolność, czy pewne upodobanie autorów, żeby właśnie czuć się związanym z jakąś większą całością. Jest taka książka pana Kępińskiego o Mickiewiczu: *Mickiewicz hermetryczny*. On tam bada tropy literackie, idąc od starożytności (hermetryczny – pochodzi od Hermesa), bada niepokój czy ciekawość większych związków naszego życia ze sprawami w jakiejś ogromnej skali. Tu się też mieści sprawa śmierci.

Ale teraz – mówiliśmy o tym – jest nadzwyczajna podaż sztuki i wszelkich dóbr typu duchowego. Jest też nadmierna podaż śmierci. Codziennie, oglądając telewizję, przynajmniej przez parę minut zastaniam oczy, ponieważ nie mogę patrzeć na te stopy trupów, które nam pokazują i które właściwie od dziecka człowieka oswajają ze śmiercią, czynią śmierć czymś banalnym, podczas kiedy niegdyś, za mojego dzieciństwa, śmierć miała jakiś ogromny wymiar, patetyczny, sakralny, metafizyczny.

Przy czym mnie się wydaje, że wszystko jest osadzone na pewnych fundamentach – o których musimy ze sobą, Jerzy, porozmawiać, ponieważ ty jesteś też uczestnikiem tej penetracji dzisiejszości. Oglądamy te stragany uliczne z książkami, na których leżą tony literatury hermetycznej, ezoterycznej, o różokrzyżowcach, o świętym Graalu, o kosmosie, o śmierci, o dobru, o złu. Jest taki moment w naszym rozwoju, w naszej ewolucji, kiedy nauka doszła do tak zwanej czarnej ściany. Po prostu, mówiąc niewytwornym językiem – lekko zgłupiała, ponieważ w mikrofizyce, w tej mechanice kwantowej okazało się, że wszystko, co wiemy, do czego się przyzwyczailiśmy, wszystkie prawa są właściwie wyśmiane.

Jedni naukowcy prawią o Wielkim Wybuchu i oswoiliśmy się z tym Wielkim Wybuchem, ale ja się boję, że za chwilę się okaże, że może nie, nie było go. Kosmos się rozszerza i są na to dowody, ale ktoś pod innym kątem spojrzy i powie, że się nie rozszerza, ale że obraca się wokół swojej niewidocznej osi. Próżnia, pustka, nicność – ta część rzeczywistości tak nas zadowalająca i uspokajająca jako tak przejmujący symbol – okazały się dziko naładowane energią. Wielki Wybuch może powstał z czarnej dziury, ale może powstał z niczego. Jednym słowem, nauka się okropnie skonsternowała i po XIX wieku, kiedy była strasznie przekonana o swojej sile, potędze i mocach, które potrafią uładzić ten świat i wszystko wyjaśnić, popadła w rodzaj hysterii. I masa wybitnych profesorów – fizyków, psychologów, biologów, astronomów, matematyków – pisze poezję, to znaczy te wszystkie popularnonaukowe książki, które są właściwie wytworami poezji. Ci profesorowie chcą więc wyjaśnić rzeczywistość przez duże „R” albo wyjaśnić istnienie, sens tego wszystkiego, a ponieważ okazuje się to wszystko dosyć pesymistyczne, jest wzruszające, że usiłują nadawać temu happy endy. Jesteśmy zalani teraz koncepcjami bytu. Każdy – czy to będzie socjolog, czy psycholog, czy biolog, czy fizyk – ze swojego punktu widzenia chce dodać nam otuchy, wyjaśnić tę wielką niewiadomą. I widzę, że wszyscy runęli na Wschód, na klęczkach profesorowie zmierzają na Wschód. Na Wschód mistyczny, tajemniczy, niejasny, niedający jasnych odpowiedzi, do jakich my jesteśmy na Zachodzie przyzwyczajeni, tylko właściwie dający pociechę w mglistości, pociechę w nierozpoznawalności.

I ta sytuacja, którą my obserwujemy – ty i ja, bo przecież mi podrzucasz książki z tego zakresu – musi wpływać na samopoczucie nas wszystkich, uczestników współczesności. Wspominaliśmy w poprzednich rozmowach o histeriach, o niepewnościach, o jakichś odruchach anarchistycznych, które obserwujemy, jakichś upadkach przyzwyczajień, obyczajów czy jakichś norm moralnych, norm intelektualnych – to wszystko może się brać też z tego, że szpica, nauka, umysł ludzki doszły do momentu, kiedy, wstyd powiedzieć,

po prostu zgłupiały. Kiedy nie wiadomo, co o tym wszystkim sądzić. Stąd ta ogromna lawina interpretacji.

Jerzy Markuszewski: Ale chcę ci zwrócić uwagę, że u ciebie przecucie mistyki, poszukiwanie mistyki, pojawiło się dużo wcześniej, niż sprawa stała się modna. To się pojawiło w *Senniku współczesnym*, który właściwie składa się z samych przecuść.

Tadeusz Konwicki: Jerzy, nie mogę przypomnieć sobie samego *Sennika współczesnego*, słabo pamiętam...

Jerzy Markuszewski: Jeżeli czegoś nie pamiętasz, zapytaj mnie, ja to niedawno czytałem.

Tadeusz Konwicki: Ale ja już zrozumiałem, o co mnie pytasz. Przypominasz mi to i ja teraz wracam pamięcią do czasu, w którym pisałem *Sennik*: to początek lat 60. i mogło to być jakieś antidotum na szalenie racjonalną atmosferę marksistowską, która wtedy panowała, i na moją osobistą „przygodę” z marksizmem czy z socjalizmem. Zaczęło mi się wydawać, że to, czego łaknąłem tuż po wojnie – ten racjonalizm, jasność, logika – że to się nie za bardzo sprawdza, natomiast jesteśmy osaczeni przez pamięć tak wielu przypadków, incydentów, które się nie dają objaśnić w najprostszy sposób.

Jerzy Markuszewski: Tylko że ty tak budujesz swoją rzeczywistość powieściową, że kiedy ja ją przyswajam jako świat magiczny, kiedy ja w nią taką właśnie wchodzę, zaraz mnie z niej wytrącasz. Nagle przelatuje nad bohaterami tego świata magicznego odrzutowiec albo – jak w *Salcie* – przejeżdżają obok motocykliści.

Tadeusz Konwicki: Trzeba pamiętać, że jestem dalekim kuzynem pana Adama Mickiewicza i że wyrosłem z pewnego obszaru kulturowego, religijnego, intelektualnego, że ta spuścizna jest we mnie obecna i dlatego mnie tak znosi w kierunku jakichś niejasnych przecuść, jakichś metafizyk, jakichś upodobań do magiczności. Ale z drugiej strony ja jestem ogromnie współczesny. Jestem nawet do tego stopnia przywiązany do dnia dzisiejszego, że nie mogę oglądać filmów historycznych i nie lubię książek historycznych. Na to możesz mi powiedzieć: tak, no a *Lawa*, a w *Kompleksie XIX* wiek? Ja XIX wiek uważam za współczesność jeszcze.

W związku z tym potrzebuję sygnału dzisiejszości, to znaczy konfrontacji jednak z tym światem galopującym do przodu. I ten rozróż, ta rozpiętość między taką ospatą, osiadłą, przyzwyczajoną do tradycji zaszłością moją czy korzeniami moimi a tym dniem dzisiejszym, jest dla mnie nęcąca. Chcę nią poruszyć czytelnika, dać mu jakiś impuls.

Jerzy Markuszewski: Jest taka scena w *Kompleksie polskim*: bohater rozmawia ze swoją kochanką i jest zdumiony, kiedy ona mu mówi, który zaraz zacznie się obrót Ziemi dookoła Słońca. Dla niego jest to metafizyka, a ona mówi, że dziś tego uczą w szkole.

Tadeusz Konwicki: Teraz możemy o przecuciach mówić śmiało, bo mamy za sobą to zaplecze profesorskie, te wszystkie książki, które się na przecuciu i domyśle opierają. Ja sądzę, że przecucie, intuicja – a wiemy, że mózg jest zbudowany z kilku warstw i ma miejsce na przecucia, na instynkty – że one odgrywają ważną rolę w naszym życiu. A nawet w jakiś sposób to życie nasze szare ozdabiają.

VI

Jerzy Markuszewski: Przeżyłem szok, kiedy przeczytałem *Wniebowstąpienie*. Jeszcze częściowo byliśmy opanowani euforią po 1956 roku i nikt z nas nie domyślał się, do czego zmierza ta rzeczywistość. Natomiast ta książka opisuje Warszawę i PRL jako rzeczywistość powoli zanikającą, zamieszkaną przez ludzi, których już nie ma częściowo, z których każdy w inny sposób oddala się. Właściwie to wszystko dzieje się chyba po śmierci bohaterów, im się tylko wydaje, że żyją.

Tadeusz Konwicki: Cieszy mnie, że to dostrzegłeś, bo współcześnie krytyka nie bardzo to spostrzegła, że właściwie tam widma chodzą, to znaczy ludzie w różnym stanie „umarcia”. Mnie to ogromnie odpowiadało w moim ówczesnym nastroju. Pamiętajmy, że to był czas tak zwanej małej stabilizacji, że była ta ponura, czarna Warszawa, szczególnie nocą jesienną czy zimową. Nawet nie było Dworca Centralnego, nawet nie było przyzwoitych ulic, dróg wyjazdowych z miasta, i tak to wyglądało, że zapadliśmy w letarg. I mnie intrygowało, i sprawiało jakąś satysfakcję właśnie opisanie takiego miasta w różnych fazach umierania. Łącznie z tym jakimś zagranicznym facetem rozkochanym w Polsce, bo tacy się też znajdowali, którzy w atmosferze takiego domu pogrzebowego resztkami życia się cieszyli.

Książka wyszła w czasie niesprzyjającym. Już narastał Marzec '68, kroczył partyzanckim krokiem i miały się tu dziać różne dziwne i ze skutkami tragicznymi rzeczy, więc książka się spotkała z niedobrym przyjęciem oficjalnym. Nie wiem, słyszałem nawet o wycofywaniu jej z księgarń.

No i zostałem napadnięty przez czcigodnych kolegów, czy przez jednego kolegę, za te apostrofy do ginącej przyrody – postawiono mi zarzut, że to jest infantylne jakieś, staroświeckie, jęki nad przyrodą, podczas kiedy trzeba się zachwycać pięknem nowoczesnej industrializacji. Rytmem kominów. Linią dachów fabrycznych. Wypadłem na zacofanego literata. Oczywiście to jest zabawne, bo to było na paręnaście lat przed tym, zanim wybuchł wielki lament ekologiczny na świecie.

Przyłożyłem się do tego *Wniebowstąpienia*. Mnie się wydaje, że masę z tej sfery irracjonalnej, przecuciowej, z jakichś prób zinterpretowania świata usiłowałem zapisać w tej książce. Tylko ona tak, biedna, poszła bokiem: przyszedł Marzec i w ogóle nie było mowy o tym, żeby się jej przypatrywać, a potem poleciała lawina różnych wypadków, i ona ma swoich czytelników, ale tak nie miała jakby swojego wejścia, swojej promocji.

Jerzy Markuszewski: Podobno każdy z nas, każdy człowiek po śmierci przez jedną trzecią swojego dokonanego życia przyzwyczajają się do nieobecności. Czyli jeżeli ktoś żył 60 lat, to przez 20 jeszcze krąży wokół swoich bliskich, wokół miejsc i powoli, ale coraz bardziej się od tego psychicznie oddala. Tak odebrałem twoją książkę.

Tadeusz Konwicki: Odgrywają wielką rolę, o dziwo, czynniki techniczne. To był taki moment, kiedy mnie zaczęto kwalifikować jako piewec wojny – że ja z tematu wojennego nigdy nie ruszę. Bo rzeczywiście, moje pokolenie literackie miało stale w pamięci czas wojenny i stąd nasze książki były takim tortem wielowarstwowym złożonym z różnych czasów, z niustannie obecnej pamięci. I ja przy *Wniebowstąpieniu* postanowiłem sobie rzecz

utrudnić, postanowiłem odebrać bohaterowi pamięć związaną z tym przejściem do innej rzeczywistości. Ale jak trudno tego uniknąć: nie mogłem dać mu realnej pamięci czasu przeszłego, wobec tego posłużyłem się hipotetycznym, czyli wyszło na coś podobnego.

Jerzy Markuszewski: Tę książkę odebrałem jako autodestrukcję. Chciałeś nam zwrócić uwagę na to, że poruszamy się w rzeczywistości, której nie ma. Jest to chyba jedyna twoja książka, w której kompletnie brak nadziei.

Tadeusz Konwicki: Więc właśnie jest problem: czy jest jakaś nadzieja, czy nie, w tym, co ja robię. Otóż przebiegi fabularne moich książek, przez to, że książki te są osadzone we współczesności jak najbardziej gorącej, mogą odciągać uwagę od istoty sprawy, o której ja, w swoim przekonaniu, piszę. To znaczy wszyscy interpretują tę gazetową dosłowność, polityczne różne aspekty, okoliczności, i na tym się często kończy, i nikt już nie ma głowy ani czasu, żeby zajrzeć do tego przestania książki. Mnie się wydaje, że jakaś część moich czytelników nie narzeka na pesymizm moich książek.

Jerzy Markuszewski: Jednak tu było to świadomym zabiegiem – wybicie nas z dobrego samopoczucia, w przeczuciu tego, co nastąpi. A nadszedł przecież bardzo zły czas.

Tadeusz Konwicki: Jerzy, przyznam ci się do jednego. Ja żyję w jednym lęku: w lęku, żeby nie oszukać. Ponieważ ja się sam czuję w jakiś sposób parę razy w życiu oszukany. Moją dewizą jest nie oszukać czytelnika, to znaczy powiedzieć mu wszystko maksymalnie do końca o tragizmie naszej egzystencji, ale jednocześnie znaleźć w tym elementy jakiegoś ukojenia, jakiejś otuchy. Zresztą w swojej biografii przechodzę wszystkie fazy, które przechodzą moi czytelnicy. Ja w jakimś momencie zrationalizowałem swoje istnienie w ten sposób, że powiedziałem: ja to będę traktował jako przygodę, która mi się zdarzyła. Przygoda ma aspekty pozytywne, zabawne, miłe niespodzianki, ale ma też przykre rzeczy. To daje mi pewien dystans. Rzeczywiście, może z powodu wileńskich korzeni, może z powodu dalekiego pokrewieństwa z Mickiewiczem i z paroma jeszcze innymi postaciami naszymi litewskimi mam poczucie dystansu. To jest takie bardzo pojemne pojęcie, w którym się mieści pewna dawka optymizmu, pewna dawka zrozumienia istoty tego życia, pewna dawka pogodzenia się z tym, że nie wszystko może sobie na tym świecie uładzić.

Mnie gryzie też jednak sprawa, o której rozmawialiśmy w jednym z naszych poprzednich spotkań. Sprawa szkoły. Ja potem się długo nad tym zastanawiałem – byłem tak strasznie przez ciebie zaskoczony, zbity z pantałyku tą maturą, którą mi urządziłeś, że nie mogłem zająć stanowiska na temat edukacji. Czyli do wprowadzania następnych pokoleń, wychodzących z ciemnego tunelu, na jasność, przygotowania ich do egzystencji z całą masą niespodzianek i z aspektami szczęścia – które podobno istnieją, ale wiemy, że tylko przez krótką chwilę i z męką wielu lat. Czy ja dobrze wtedy, w tamtej rozmowie powiedziałem? Bo chciałem pochwalić nauczycieli, atakując program. Ale zaraz powiem, dlaczego pochwalić: dlatego, że mam wnuczkę i jak idę ją odebrać ze szkoły, no to mam uczucie, że wszedłem do piekła. Widzę tych paręset istot jeszcze nieufornych, kierujących się tylko instynktem, temperamentem, energią, i te nauczycielki szlachetne,

które muszą przez cały dzień panować nad tą straszną zgrają. Ostrożnie z atakami na szkołę. Szkoła musi jakoś te następne pokolenia przygotować i jest w tym jakaś antynomia, na którą jak dotychczas ludzie nic nie poradzili.

Może teraz poradzą. New Age i panowie profesorowie, padając na klęczki przed Wschodem i topiąc się w mistyce, może też wynajdą jakąś formę wprowadzania następnych generacji na nasz świat.

VII

Jerzy Markuszewski: W *Kompleksie polskim* główny bohater, czyli Konwicki, opowiada, jak złożył spotkanie po latach w Ameryce dowódcy partyzanckiemu meldunek o losach ich oddziału. I kończy: „Tak wyglądało spotkanie z moim dowódcą, którego nigdy przedtem nie spotkałem i który mnie nigdy przedtem nie widział. Z moim dowódcą mojej wojny, której nikt już nie pamięta, której już nikt tak mocno nie pamięta, że może jej w ogóle nie było”. Ja myślę – i chciałbym, żebyś powiedział, co ty na ten temat sądzisz – myślę, że bez przekazu, bez pamięci, nie możemy mówić o edukacji.

Tadeusz Konwicki: Najpierw wystąpię jako naukowiec amator. Jest wiadome, że istnieje pamięć genetyczna, pamięć przekazywana nam jako gatunkowi przez geny. Ale też jeden z laureatów Nobla wspomina o pamięci czy raczej świadomości globalnej, o czymś takim, co jest w atmosferze, w powietrzu, w jakichś cząstkach materii. O wspólnej świadomości zatem i wspólnej pamięci, która ułatwia nam życie, adaptację do tych warunków, w jakich się znajdujemy po narodzeniu i w dzieciństwie. Mnie się wydaje, że pamięć to jest jednak fundament naszej egzystencji, i przypuszczam, że to jest obszar naszej psychiki niezwykle skomplikowany i bardzo istotny dla naszych poczynąń. Przy czym są uczeni, którzy twierdzą, że mamy też pamięć przyszłości, zakładając istnienie fenomenu pętli czasu.

Ja o tym teraz napisałem chyłkiem, może to się zresztą ukaże [zob. *Pamflet na siebie* – przyp. red.]. Przypiąłem się do pamięci, ponieważ spostrzegłem dziwne fenomeny, dziwne przypadki z moją pamięcią. Nie tak dawno spotkałem pewną panią, dziś jeszcze bardzo przystojną, a kiedyś prześliczną dziewczynę, która była naszą tęczniczką w odległych czasach wojny. I ona cały czas przypominała jakieś epizody, jakieś wypadki z tego naszego losu. Ja z tego mało co pamiętałem. Czyli kto wie, czy pamięć nie przystosowuje się do naszego losu? To znaczy służy w tych momentach, kiedy jest pożyteczna, a stara się nas nie obciążać jakimś balastem dodatkowym, biorąc pod uwagę, że jeszcze ma konkurentki w postaci podświadomości i Jungowskiej nieświadomości.

Jerzy Markuszewski: Pamięć niestety ma to do siebie, że pozbywa się niewygodnych dla siebie zdarzeń.

Tadeusz Konwicki: Tego ja się boję. Całe życie się tego bałem i miałem bardzo drastyczny przypadek. Kiedyś z jakimś kolegą, krytykiem filmowym, czekałem na jakąś projekcję, chodziliśmy po parku, rozmawialiśmy o minionych czasach bardzo dramatycznych, gdzie można było robić świadomie i nieświadomie wiele krzywd ludziom. I tak się zastanawiałem, i powiedziałem: wiesz, mnie się wydaje, że ja osobiście nikomu

– personalnie – nie zrobiłem krzywdy w owym czasie. On na to przypomniał, że jemu wyrzuciłem pewną przykrość. Oczywiście mógłbym ją usprawiedliwiać pewną pryncypialnością moralną, tym, że chciałem dobrze, ale obiektywnie on doznał jakiejś przykrości ode mnie, a ja to wyrzuciłem z pamięci. I to nasi przyjaciele nazywają usłużną pamięcią.

Dalej jeszcze pójde. Kiedyś nasza grupa, grupa ludzi z mojej generacji, stanęła okoniem wobec władz partyjnych i gremialnie wystąpiła z jakiejś instytucji. Część kolegów, przypuszczalnie ze względów koniunkturalnych, bo chciała mieć spokój, została. Minęło 20 lat, jestem na jakimś gdzieś przyjęciu i słyszę, jak jeden z kolegów, który został, opowiada komuś o epizodzie bohaterskim swego życia: że został, przyjął na siebie odpowiedzialność, stawiał czoła. Ja wtedy nagle upadłem na duchu. Ale nie za bardzo, bo pomyślałem sobie wtedy, że nie ma historii, historia to jest to, co facet o sile przebicia wykrzyczy. Kiedyś prof. Krawczuk pisał, że Herod był wspaniałym władcą, tylko naraził się środkiem masowego przekazu, to znaczy wtedy kapłanom, i oni wyrobili mu tak straszną opinię, która nas do dziś jeszcze trwoży. Więc zacząłem być szalenie ostrożny z historią, już nie tylko dotyczącą mnie, ale dotyczącą nas wszystkich. Pamięć może być też manipulowana, pamięć może być przez kogoś skonstruowana i wszczepiona bez mojej wiedzy we mnie.

Jerzy Markuszewski: Myślę, że gdyby prawidłowo funkcjonowała pamięć, to nikt na transparentach na manifestację nie napisałby o kimkolwiek: „do gazu”.

Tadeusz Konwicki: Jerzy, mnie się wydaje, że pamięć istnieje, a jeśli chodzi na przykład o naszą wojnę, to jest nadmiernie kulturowana. Jesteśmy zalani pozycjami martyrologicznymi. Codziennie właściwie się odbywają jakieś uroczystości, jakieś składania wieńców. Ta pamięć jest nadzwyczajnie, w nadmiarze serwowana. Po pierwsze, ona może budzić sprzeciw, opór następných pokoleń. Wszystko, czego jest za dużo, budzi jakiś rodzaj sceptycyzmu. A druga sprawa: nie można, i to mówię z całą stanowczością, doświadczenia przekazać nawet najbardziej przejmującymi słowami. Ja przecież walczyłem całe życie, żeby możliwie złapać za włosy czytelnika i coś mu z mojej wiedzy, z mojego doświadczenia przekazać, i wiem, że to jest kruche. Niestety, tego, co się przeżyło, nie da rady przekazać w postaci dosłownej swego przeżycia. Jest to osłabione, oddzielone jednak czasem.

Jerzy Markuszewski: Jest taki obraz w jednej z twoich książek: leżycie z kolegami na wzgórzu, obserwujecie Wilno, które za chwilę będziecie atakować. I zastanawiasz się, jak to jest ze współczesnymi pokoleniami.

Tadeusz Konwicki: Miałem taki przypadek. Stan wojenny, dzwonek do drzwi. Otwieram – i nogi się pode mną ugięły, stoi chłopak z AK z 1943 roku, o takiej aparycji, o takim ostrzyżeniu, o takim sposobie zachowania, o takiej inteligencji, o takim jakimś świetle wewnętrznym. Byłem wstrząśnięty: w końcu jakiejś epoki, tak innej i tak odmiennej, nagle staje przede mną chłopak z mojej młodości. To był syn jednego z naszych działaczy niepodległościowych. I wtedy sobie pomyślałem, że jednak nie jest tak źle z tą pamięcią ogólną, że jest ona przekazywana, że ten chłopak właśnie mógłby gdzieś się tam położyć z karabinem na jakimś wzgórzu nad Wilnem.

To jest ciekawe, jak przy pozorach anarchii jakiejś, nihilizmu tej młodzieży, która wszystkiemu zaprzecza, jak te jednak – nie wiem, jak je nazwać – wartości, dyspozycje, są przekazywane.

Jerzy Markuszewski: Wśród twoich książek są książki typu eseistycznego, w których często zamieszczasz portrety swoich przyjaciół, jak Stasia Dygata, on zresztą obraził się za swój portret, czy Leopolda Tyrmanda, ale nie tylko przyjaciół, bo również na przykład o Wilhelmim piszesz, ministrze kultury, którego wszyscy nienawidzili.

Tadeusz Konwicki: Podlegam bardzo dziwnemu prawu literackiemu, mianowicie, jeśli o kimś napisałem serdecznie, a nawet z miłością, ten się na mnie śmiertelnie obraził. Jeśli natomiast – zadając gwałt swojej łagodnej i miłej naturze – napadłem na kogoś, ten natychmiast otrzymywał tysiąc nagród, pięćdziesiąt wspaniałych stanowisk, od momentu mojego ataku życie mu się układało po różach. Więc właściwie warto zabiegać, żebym kogoś zaatakował, na kogoś napisał paszkwil, bo to gwarancja powodzenia.

Ale teraz jest jeszcze sprawa: dlaczego ja w ogóle o kimś napisałem. Napisałem wiele takich sylwetek, ponieważ uważałem, że spotkałem kogoś ciekawego, niebanalnego, jakąś osobowość, którą warto utrwalić. Pisałem z serca, tak jak na przykład o Stasiu Dygacie, a o Tyrmandzie – uważając, że ponieważ znałem go dosyć blisko, powinienem napisać prawdziwy, jak mi się wydaje, portret, dla porządku, dla archiwum, wcale nie po to, żeby polemizować z jakimiś innymi piszącymi, hagiografami czy paszkwilantami Tyrmanda. Ten pociąg do zapisania prawdy w swoim indywidualnym przekonaniu jest strasznie intensywny u wielu piszących. Poza tymi, którzy oczywiście korzystają z okazji, żeby się strasznie pochwalić.

Tyś powiedział o mnie, że jestem skromny. Otóż ja obawiam się, że moja skromność wynika z mojej pychy. Pochodzę z regionu, w którym samochwalstwo było naganne, i ja, gdybym się ośmielił jako chłopak biegać, koleżkom przed oczami się popisywać, chwalić, byłbym skreślony i miałbym zupełnie inne życie na pewno, niż mam. Dziś żyjemy w środowiskach samochwalców i moją pewną pańskością jest to, czego przestrzegam: żeby się nie chwalić. Bo gentlemeni nigdy się nie chwalili.

VIII

Jerzy Markuszewski: Najbardziej z dzieciństwa zapamiętałem, jeśli chodzi o smaki, smak kartoflanki, którą gotowała moja mama. Od wielu lat próbuję ten smak odtworzyć. Czy pamiętasz jakieś smaki ze swojego dzieciństwa, coś, za czym do dziś tęsknisz?

Tadeusz Konwicki: Wstyd powiedzieć: też za kartoflanką. Był taki moment w mojej biografii, że musiałem pracować w czasie okupacji, żeby nie wywieźli mnie do Niemiec i pracowałem na kolei. I nagle znienacka nas, kilkudziesięciu, wzięto za łeb i zawieziono do takiego rodzaju obozu, którego pensjonariusze musieli ścinać drzewa. Ja miałem wtedy 16 lat; dorośli, silni tam się podobierali w brygady mocne, a do mnie dwóch jakichś starszków inwalidów dodano – i myśmy, biedacy, szli pierwsi, gdzieś o piątej rano, i wracaliśmy o zmroku (w lecie) z powrotem, bo nie mogliśmy tej normy wyrobić

szybciej. I głównym pożywieniem była kombinowana kartoflanka, to znaczy jako baza zupa kartoflana i do tego, co Bóg dał, się dosypywało. Jak się gdzieś jakieś krupy zdarzyły, to krupy, jak jakaś roślina czy jakiś korzeń, to roślina czy korzeń.

Może też to jest taki region kartoflany – ale ja jestem właściwie zbudowany z kartofli i kartofle lubię. I pamiętam czas, kiedy kartofle zostały potępione przez uczonych Amerykanów i wszyscy światli warszawiacy nie dotykali kartofli, i ja za nich zjadałem. Po paru latach okazało się, że kartofle stanowią podstawowy budulec naszej biologii, mają jakieś mikroelementy, w ogóle cudowne, magiczne właściwości, które widzisz w mojej budowie i moim umyśle odbite.

Jerzy Markuszewski: No więc ja się cieszę, że razem tęsknimy do tego smaku. Może kiedyś razem ugotujemy sobie kartoflanke.

Tadeusz Konwicki: Ja cię muszę tu zastrzelić blinami, bo ja strasznie cierpię, widząc jakiś stosunek niefachowy do blinów. Przede wszystkim bliny uchodzą za produkt kuchni rosyjskiej – ja gwałtownie protestuję, uważam, że to jest kuchnia Wielkiego Księstwa Litewskiego. Jak wszyscy wiedzą, Wielkie Księstwo Litewskie miało dużo stosunków z Księstwem Moskiewskim, i personalnych, i – myślę – także obyczajowych, i ja przypuszczam, że bliny przeszły do tamtejszych sfer arystokratycznych z dołów wileńskich.

Przede wszystkim bliny są przeróżnego rodzaju. Jakbym się skupił, tobym wymienił ze 30 gatunków blinów.

Jerzy Markuszewski: Niemożliwe.

Tadeusz Konwicki: Tak. I to, co Rosjanie proponują – z mąki gryczanej – to jest jeden z blinów. Jest takie przysłowie wileńskie: nie łam się jak owsiany blin. Czyli nawet z owsianej mąki były bliny robione.

Ja pamiętam z już takiego wczesnego dzieciństwa ten archaizm: gdy wstawano przed świtem w zimowe dni (nie wiem, dlaczego tak bardzo wcześnie) do młocki, która się odbywała przy użyciu cepów, to śniadanie się składało z blinów. Ponieważ bliny miały potężną, też magiczną siłę w sobie. I tak panowie mieli sterty przed sobą tych blinów, i zwiłali je w rurkę, maczali w takich panoczkach, czymś w rodzaju sosu, których były też niezwykle ilości.

Jerzy Markuszewski: Nie wiedziałem, że jest aż trzydzieści rodzajów blinów. Ja znam tylko jeden blin: blin z kawiozem.

Tadeusz Konwicki: Były różne smaki dodawane do blinów – które też były różnego smaku.

Jerzy Markuszewski: A czy był też na przykład drobno pokrojony boczek wędzony, stopiony, usmażony na takie skwarki chrupiące, i można było w tym moczyć?

Tadeusz Konwicki: To najbanalniejsze było. No, to już stanowiło pewien rodzaj prostactwa.

Przy czym tu jeszcze pamiętam te szmugle w czasie wojny, te słoniny. Bo były enklawy litewskie na Wileńszczyźnie, a Litwini, jak wiesz, zawsze słynęli z doskonałego rolnictwa, i tam szmuglerzy nasi jeździli po słoniny. Ta słonina dopiero wtedy zaczynała się liczyć, kiedy miała szerokość czterech palców.

Jerzy Markuszewski: Ale słoninę też różnie przyrządzano, prawda? Była taka obsuszana, wędzona, solona...

Tadeusz Konwicki: Tu zagrała we mnie śledziona z powodu sponiewierania szynki tak zwanej litewskiej czy wileńskiej. Nazywa się ją tutaj jakąś westfalską, celebryta się jakieś dziwne cienkości wysuszone. Ja jadałem taką waszą miastową szynkę – na Wielkanoc, z okazji jakichś świąt, a nasza codzienna szynka to była wisząca na strychu surowa wędzona szynka.

Jerzy Markuszewski: Ale bywały jeszcze takie szynki u mojej babci, że się je peklowało, a potem one pod sufitem wysychały i też się takimi płatami cięto. Nazywała się przyzucha. Też pyszna, wiesz? Myślę, że lepsza niż westfalska.

Tadeusz Konwicki: No, na pewno lepsza. Ale ja z twoją szynką chyba się nie zetknąłem. Może jeszcze się zetknę?

Jerzy Markuszewski: Właśnie. Ja kontynuuję tradycję mojej matki i staram się mieć na święta szynkę, która jest wędzona z całą słoninę.

Tadeusz Konwicki: A pieczona w chlebie?

Jerzy Markuszewski: Nie jadłem.

Tadeusz Konwicki: To u nas to jest jedna z głównych szynek. I ten chleb później, czyli ta warstwa taka chlebowa, przesiąknięta wszystkimi doskonałościami szynki...

Ale. W tym momencie gotów jesteś pomyśleć, że jestem smakoszem. A ja jestem ascetą, też w dziedzinie kulinarnej. Ja się zachwykam, jak na coś trafię bardzo smacznego, ale też mogę jeść, tak jak okoliczności mi podyktują, a też mogę nie jeść wcale. Jeślibyś nagle zażądał, żebym teraz do końca roku nic nie jadł, to mogę się zgodzić.

Jerzy Markuszewski: Można być ascetą i lubić jedzenie, nie mylmy odżywiania z jedzeniem. Ty dużo jeździłeś po świecie – czy byłeś ciekaw kuchni?

Tadeusz Konwicki: Oczywiście możesz się domyślać, że najbardziej byłem chińską zafascynowany. Trafiałem do Chin na początku 1956 roku, czyli bardzo dawno temu, kiedy Chiny były jeszcze jakby nieskażone Zachodem, nowoczesnością, cywilizacją, i byłem podejmowany gościnnie – to znaczy byłem z filmowcami – a tam najprostszy posiłek to jest, jak wiesz, ileś tam potraw.

No, muszę ci powiedzieć, że byłem dosyć ostrożny. Jednak to na moją wyobraźnię działało dosyć drastycznie. Jak wiesz, Chińczycy jedzą wszystko, a wtedy jedli więcej niż wszystko, i ja tak pamiętam taki moment, kiedy wreszcie trafiłem na coś, co bez obaw mogłem jeść, mianowicie była to kura w rosolu. I jak się rzuciłem na tę kurę, i zaczęłam ją chwalić, że taka wspaniała, mówią Chińczycy: proszę pana, to nie jest kura, to jest ośmiornica. Więc też lekko się stropiłem.

Ale, o dziwo, mieszkaliśmy w hotelu zbudowanym chyba między wojnami przez Anglików, gdzie była kuchnia prowadzona przez Chińczyków, w ich przekonaniu jako europejska. Oczywiście ona prawie nic nie miała wspólnego z europejską, ale była złagodzona, przybliżona do naszych nawyków, do naszych urazów, do naszych kompleksów kulinarnych. I degustując tę kuchnię intensywnie w swoim hotelu, w którymś momencie spostrzegłem, że na kolejną wycieczkę chyba nie pojedę, bo nie mam spodni,

w które bym się zmieścił. To jest jedyny raz w życiu, kiedy straszliwie przytyłem: wyjechałem jako romantyczny wilnianin, chudziutki, a wróciłem jako dość przysadkowaty facet.

Jeszcze muszę coś powiedzieć o japońskiej kuchni. Biję przed nią czołem, ale... Podają jakieś skrzyneczki, w których leżą jakieś substancje typu marcepanowego, pokolorowane farbami wodnymi, bardzo jaskrawo – zielone, czerwone, żółte, fioletowe. Bardzo apetycznie wyglądały. Ja strasznie Japończyków przepraszam, ja uwielbiam Japonię, ale jedząc te potrawy, cały czas miałem uczucie, że zjadam politurę. I były takie miseczki z zupą – myślę: tu się trochę pomęczę, a przy zupce odpocznę. Dopiero ta zupa dała mi w kość.

Adaś Michnik jest strasznym wielbicielem kuchni japońskiej. Ja przyjąłem ją z szacunkiem, ale bez entuzjazmu. Węgierska kuchnia – bardzo proszę. Kiedyś, również z filmowcami, brylowaliśmy w Budapeszcie i też kosztowaliśmy węgierskiej kuchni. Ja już byłem ostrożniejszy, ale kolega mój, reżyser, chyba ze 150 kilo przytył przez tydzień.

Jerzy Markuszewski: A czy australijska kuchnia czymś się różni od naszej?

Tadeusz Konwicky: Rozkoszna, bo jest imigrancka. Tam pokazywano mi na niedużej rzece mostek z 1895 roku tak, jakby w Rzymie pokazywano Koloseum, jako straszny zabytek. Czyli Australia jest ze świeżych imigrantów i kuchnie wszystkich narodów tam kwitną. No i oczywiście, wstyd powiedzieć, dobrze tam wypadła i bardzo mi się tam podobała włoska.

Jerzy Markuszewski: A coś polskiego jadłeś w Australii?

Tadeusz Konwicky: Chyba żebym sam sobie kartoflanekę ugotował. Jakoś nie trafiłem tam. Zresztą, jak wiesz, z polskimi kuchniami nie jest najlepiej, one są efemerydami, co jest związane z temperamentem polskim. Jakieś dwie panie swego czasu, mówiła mi córka, na Manhattanie zaczęły piec ciastka polskie – Manhattan oszalał. Ale one się po roku czy po dwóch zwinęły i znikło to. Tak samo te restauracje polskie: powstają tam, odnoszą sukces, ale poetę poniosło w inną stronę.

IX

Jerzy Markuszewski: W twojej twórczości często pojawia się wątek związany z ludźmi pochodzenia żydowskiego. Najbardziej utkwił mi w pamięci obraz chłopca z *Dziury w niebie* i postać Karnowskiego z opowiadania z *Zórz wieczornych*, a także wizja leżącego płonącego Żyda z *Jak daleko stąd, jak blisko*.

Tadeusz Konwicky: Ja już mówiłem, wspominałem, o moich uczuleniach na reakcje wobec inności – wobec obcoplemieńca, wobec człowieka innej religii, innego obyczaju. Być może wyniosłem to z tej ziemi, gdzie się urodziłem i gdzie się wychowałem. Chcę też przypomnieć, że sprawa Żydów już nawet w *Rojstach* przebiega marginesowo, ale widać z tego, że była to jakaś sprawa, która mi towarzyszyła.

Ale będę o tym w tej chwili mówił z pewnym zażenowaniem, ponieważ w którymś momencie temat żydowski stał się tematem, jak by to powiedzieć, lukratywnym, masa ludzi runęła do robienia sztuki na ten temat, ponieważ było to premiowane, i nawet Elie Wiesel, ten laureat nagrody Nobla, w którymś momencie poprosił w swoim eseju o więcej szacunku i ciszy wobec tego tematu.

Więc mnie się wydaje, że temat żydowski podejmowałem wyłącznie od swojej strony. Łącznie z tym, że po czasach Marca w *Kalendarzu i klepsydze* też mu poświęciłem jakieś partie, przy czym ludzie roztropnie mnie przed nim przestrzegali – nie jest to czas po temu. Zresztą tu powiem przy okazji, że ten Marzec nam wyrządził szkody, z których do końca nie zdajemy sobie sprawy, sprawa Marca nam będzie jeszcze przez dziesiątki lat ciążyć. Zauważmy też, że piśmiennictwo żydowskie – czy pisane po hebrajsku, czy po angielsku, czy po polsku – do Marca nie miało akcentów rozrachunkowych. Było szalenie podniosłe, jak gdyby zajmowało się samymi konsekwencjami eschatologicznymi. Od Marca Żydzi zaczęli szukać też winnych i wśród nas, zaczęły się obrachunek. Upokorzenie, widocznie, zmusiło ich do innego spojrzenia na ten okres.

Ja tę tematykę w swojej twórczości przeprowadziłem w postaci Karnowskiego, który się przewija w wielu moich książkach. Czasem w ogóle przechodzi tylko, narrator widzi go z daleka – stojącego na stacyjce w Kolonii Wileńskiej. Albo on bierze udział w Powstaniu 1863 roku. Albo jego być może córki pojawiają się w *Czytadle*. A też poświęciłem mu opowiadanie – chyba właśnie w *Zorzach wieczornych* – gdzie odwróciłem sytuację i gdzie nie szlachetni chrześcijanie ratują Żyda, tylko Żyd z opresji ratuje szlachetnych chrześcijan. Bo też takie sprawy się zdarzały i mnie się wydawało, że w jakimś takim podtekście moralnym to równoważy nas wszystkich, stawia nas w podobnej sytuacji – w pozytywach, w naszych mocach wewnętrznych i możliwościach.

Jerzy Markuszewski: Ty nie mógłbyś mówić o koniunkturze, ponieważ u ciebie temat żydowski pojawia się od początku, jak mówię – prawie w każdej książce.

Tadeusz Konwicki: Jerzy, spostrzegłeś przenikliwie, że ja nie wszedłem we współczesność, w dzisiejsze rozgrywanie tego tematu Holokaustu czy jego konsekwencji. Ja się trzymałem – w swoim przekonaniu moralnym słusznie – w pochyleniu się jakimś, w zadumie czy w rachunku sumienia wobec Holokaustu. Wobec wielkiego ludobójstwa, którego byłem świadkiem.

Jerzy Markuszewski: Myślę, że to jest sprawa wewnętrzna, a nie zewnętrzna. My w sobie musimy dać z tym radę, to znaczy uporządkować to w sobie, poczuć, że to wszystko, co się zdarzyło, jest naszą wspólną przeszłością.

Tadeusz Konwicki: Czy pozwolisz, Jerzy, że ja tutaj coś powiem pozytywnego w tym wątku naszej rozmowy? Jak wiesz, napisałem też taką powieść *Bohiń* z drugiej połowy XIX wieku, gdzie zasugerowałem, korzystając z pewnych niejasności, takich wileńskich mgieł tajemnicy, że moja babcia miała romans z Żydem. Dlaczego ja między innymi, poza względami artystycznymi i sentymentalnymi, i innymi, użyłem tak ryzykownego elementu? Mianowicie byłem ciekaw, co się stanie, jeśli pisząc taką powieść „polską”, dworską, nasyoną patriotyzmem, wszystkimi atrybutami takiej polskości – pomieszczę jako jednego z bohaterów Żyda. Byłem ciekaw, jaka będzie reakcja tego społeczeństwa, czy rzeczywiście ono jest takie, jak niektórzy powiadają tu i za granicą, że z mlekiem matki Polak wysysa antysemityzm. Taka powieść to jest papierek lakmusowy najbardziej jaskrawy, reakcja musiałaby być najbardziej wyrazista. Otóż, ku mojej przyjemności i radości, społeczeństwo, czy ten krąg czytelniczy mój, dość spory, bo książka miała

sto kilkadziesiąt tysięcy nakładu, może nawet więcej – przyjął to. Poza jedną wymówką od wykwintnej pani z takiej tradycji postępowo-niepodległościowej, która mnie zwy myślała za sponiewieranie swojej babci trefnym romanssem, i poza jednym wściekłym, rozjuszonym anonimem, który facet musiał parę dni stukać na maszynie – raczej miałem odbiór życzliwy. Tak że wiele u nas jest rzeczy pozornych, takiej piany bitej przez różnych polityków manipulatorów, które my bardzo często bierzemy za obraz społeczeństwa. Mnie się wydaje, że nie jest źle, że polskie społeczeństwo jednak te tradycje dawnej Rzeczypospolitej zachowało. I że te oddzielone na tych obszarach narody jednak coś wiąże. Coś w tym jest – i to ja usiłuję wydobyć. To znaczy jakieś głębsze pokłady, a nie te pokłady takiego taniego humanizmu czy humanitaryzmu i łatwych konstatacji.

Muszę ci się tu przyznać – a nie wiem, czy to jest stosowne, że w tej rozmowie to powiem – że nie jestem czułościowy w tym temacie, który wątkujemy w tej chwili. Już ci wspominałem, że w gruncie rzeczy jestem kosmopolitą i mam poczucie intensywnych więzi ze wszystkimi. Nawet w Japonii udawadniałem Japończykom, wstrząśniętym i oszołomionym, że jesteśmy – Polacy z Japończykami – strasznie podobni, bo sam ich etos samuraja niezwykle przypomina nasz etos szlachecki, etos tego szlachciury, który na rapciach ma tę szablę. Dlatego ja na problematykę żydowską też patrzę – jak by to powiedzieć – z maksymalnym obiektywizmem. Mickiewicz powiedział, że jest to naród wybrany i ma prawo do dumy, że jest narodem przez Boga wybranym, nie powinien się łączyć z innymi narodami. Do mnie to nie przemawia w sposób jakiś przekonywający, ponieważ ja widzę tę populację ziemską, wszystkich ludzi, wszystkie ich losy, ich drogi, ewolucje. Natomiast fakt, że w momencie szczytowym pychy cywilizacji i kultury europejskiej – kiedyśmy doszli do wniosku, że otwieramy nową epokę, w której człowiek właściwie nie tylko zapanuje całkowicie nad ziemią i prawami fizyki, ale nawet uszczknie coś z kosmosu – fakt, że w tym momencie zdarzyła się tak straszna kraksa, że cywilizowany naród o ogromnych zasługach kulturalnych, technicznych, naukowych, moralnych nagle w sposób fachowy, naukowy, przemysłowy gubi, wybija, wyrzyna inne narody (bo pamiętajmy, że to samo robili z Cyganami, a my, Słowianie, byliśmy następnymi w kolejce), dla mnie osobiście ten fakt kompromituje całą naszą ewolucję. On tak kompromituje całą naszą drogę przez tysiąclecia, wszystkie wspaniałe osiągnięcia i zdumiewające triumfy myśli ludzkiej, sumienia ludzkiego, moralności, honoru ludzkiego, że to nie może przejść tak łatwo.

Miałem taką scysję drobną w stanie wojennym w jednym z salonów opozycyjnych z pewną Niemką. Ona, taka strasznie energiczna, dzielna, wspomagająca opozycję, wdała się ze mną w rozmowę na tematy żydowskie i powiedziała: no tak, myśmy tę sprawę już uporządkowali i wy też musicie. Ja tu dostałem szału: wyście uporządkowali?! Na kolana, na kolana! Przez 500 lat nawet to nie będzie uporządkowane! Bo co innego uporządkować w sferze naszego życia, naszego bytu, a co innego uporządkować w tych regionach naszej duszy, naszego mózgu, gdzie to musi pozostać jako ostrzeżenie, niekoniecznie z imieniem Niemców związane, ale jako ostrzeżenie czysto ludzkie. Jako takie, ono moim zdaniem będzie nad nami – będzie w nas – przez setki lat.

Nie wiem, czy to będzie skuteczne, czy to powstrzyma następnych ludobójców, ale w każdym razie to, że to istnieje, że to się przewija w tym, co robimy, w wytworach naszych rąk, w filmach, obrazach, książkach, będzie przynajmniej hamowało to bestialstwo, które niestety, wstyd powiedzieć, w nas ktoś, cholera, zakodował.

X

Jerzy Markuszewski: Twoi bohaterowie ciągle do ciebie – do bohatera, który się nazywa Konwicki – mówią, że jesteś chytry, albo wręcz mówią, że łiesz. Z czego to się bierze?

Tadeusz Konwicki: Zacznę od wielkiego dzwonu. Uważam, że w związku z tym, że takie niewielkie, ale osobiste, prywatne katastrofy przeżyłem i tyle się przypatrzyłem względności naszych zachowań, naszych porywów, naszych odruchów moralnych czy odruchów sumienia, zakodowało się we mnie jakieś dodatkowe przykazanie: Boże broń, nie wprowadzić w błąd bliźniego. W tym wypadku czytelnika. I stosuję właśnie taką technikę: to, co mam do powiedzenia – a mam do powiedzenia też i serio pewne rzeczy – przekazuję ubezpieczone pamięcią o chwiejności naszego myślenia, naszej obyczajowości; chcę to, co mówię, tak ubezpieczyć, żeby było przez czytelnika poddane rozważce, żeby czytelnik wiedział o wszystkich ewentualnych wątpliwościach, także swoich własnych. Jeśli wtedy zaakceptuje, to będę miał spokojne sumienie.

Zwrócę ci uwagę, że żyjemy w specjalnym społeczeństwie – w społeczeństwie, które warunki historyczne zmusiły do życia w stanie podgorączkowym. W tym stanie ono żyje dziesiątki lat, przez co demonstrują się tutaj demagogia, manipulancтво intelektualne, krzyki, fałszywy patriotyzm, udawanie, korzystanie z pewnych aspektów naszego losu po to, żeby rwać się do przywództwa, do wieszczania. Przecież my jesteśmy obarczeni tym kompleksem wieszczca, przecież tutaj jest powszechne przywdziewanie tych peleryn romantycznych.

Ja kiedyś myślałem nad tym i doszedłem do wniosku, że – powiem tu bluźnierstwo – nie ideologie są winne, my jesteśmy winni. Ideologia to jest tylko chmura unosząca się gdzieś nad nami, to nasze charaktery są winne. Połowa populacji żyje tak, jak uważa: z honorem, z godnością, przyzwoicie, natomiast druga połowa chce każdego albo zbawiać, albo go skierować na słuszną drogę (czy czytałeś? – nie czytałem – dlaczego nie czytałeś, musisz koniecznie przeczytać; widziałeś ten film? – nie widziałem – musisz koniecznie!). Muszę żyć tak, jak oni sobie życzą, mam się zachowywać tak, jak oni sobie życzą, ubierać się, panienki lubić takie, jakie im się wydają powabne.

Więc z tych wszystkich okoliczności, w których ja żyję i wegetuję, wychodzi to, jaki jestem. Pewna ostrożność mną kieruje. Kiedyś napisałem, że mam oko jak mucha, to znaczy widzę dookoła – no, takie mam dyspozycje wewnętrzne, genetyczne, że nie mogę iść tylko za swoją racją, że jednak racje wszystkich ludzi dookoła oddziałują na mnie, dają mi do myślenia. I to, co się mówi, że uparty jak Litwin – to polega na tym, że tego typu ludzie słuchają, biorą pod uwagę wszystkie sugestie, racje wszystkich bliźnich, ale w końcu wybierają swoją własną i wtedy, jak się zaprą, to koniec.

Jerzy Markuszewski: Wydaje mi się, że ty świadomie gubisz często tropy. Najpierw naprowadzasz nas na pejzaż, na stosunki, które panowały w miejscu twego urodzenia, a potem nagle mówi twój bohater, że nigdy chyba nie był na Wileńszczyźnie, że wzmówił to ludziom i że ma „rodowód z erudycji”. Więc jak to jest?

Tadeusz Konwicki: Tu znowuż jest sprawa dla mnie wstydliva. Ja też się lękam eksploataowania tego obszaru, na który pracowali wielcy, poczawszy od Mickiewicza, Kościuszki przez Moniuszkę aż do Piłsudskiego. Mnie to krępuje. Ten swój rodowód, te swoje korzenie usiłuję podawać w formie lekkiej, to znaczy coś w tym tellurymie – w tym wpływie ziemi na usposobienie i losy ludzi – jest z prawdy, ale też może to być pewnym obyczajem towarzyskim, pewną grą towarzyską.

Myślę, że właśnie tak jest gdzieś to pośrodku: ja jestem tak zbudowany, taką mam konstrukcję umysłową i emocjonalną, ale też jestem jednak, jak kiedyś dość zuchwale o sobie napisałem, bękartem romantyzmu. Już mówiliśmy o tym, że należę do pokolenia, które było specjalnie chowane – społeczeństwo Dwudziestolecia przewidywało najwidoczniej tę katastrofę, która przyszła. A myśmy też wzorowali się na ówczesnej literaturze angielskiej, na Wodehousie, byliśmy nonszalanccy, z fasonami, właściwie powściągliwi ogromnie, ironiczni, ale jednocześnie gdzieś wewnątrz z takim węzłem historycznym – że trzeba się uratować z tej nadchodzącej zagłady.

Jerzy Markuszewski: W swoich książkach powołujesz się na uwarunkowania genetyczne, tymczasem niewiele wiemy o twoich rodzicach. Aczkolwiek są pewne ślady, na przykład w *Senniku współczesnym* bohater w bardzo dramatycznej dla siebie chwili wyłącza się z koszmaru i wygłasza bardzo piękny monolog wewnętrzny do własnego ojca.

Jeżeli to jest zbyt intymne pytanie, to nie rozmawiajmy na ten temat.

Tadeusz Konwicki: Nie, ono jest intymne, ale i ogólne zarazem. Otóż ja jestem sierotą, a to jednak determinuje życie człowieka. Oczywiście, był czas, kiedy koleżkowie strasznie mi zazdrościli, mówili: tobie dobrze, ty sierota. Bo tam gdzieś tatuś z żołądkiem czekał na nich czy mama czegoś wymagała, więc mnie oni uważali za człowieka wolnego.

Byłem w jakiś sposób sierotą i do tego nie miałem rodzeństwa. I byłem podrzucany do rodziny, co było u nas przyjęte – że a to ciotki wychowywały, a to dziadkowie (zresztą nie bezpośredni, tylko jacyś cioteczni). To jest ciekawe, bo to się wiąże z tym moim jakimś włóczęgostwem, łatwością przenoszenia się ze środowiska w środowisko. Ale to też nie mogło bezkarnie przebiegać, to musiało się w jakiś sposób odkładać w mojej podświadomości, to musiało zadecydować o tym, co pisałem i jak pisałem. Jeśli mówiłeś wcześniej, że mój bohater jest wyizolowany z tak zwanego mięszu życia, między innymi z tych wszystkich więzów rodzinnych – to można tu powiedzieć, że to dla mnie było naturalne, ja byłem w jakiś sposób sam.

Zresztą dodam, żeby nie popadać w płaczliwość, że ja strasznie dużo od ludzi dobrego zaznałem w życiu. W takich momentach decydujących ktoś mnie tam wsparł, ktoś mi tam pomógł. I to jest jedyny wniosek, jaki z tego wyciągnąłem: że trzeba pomagać,

że jeśli mam okazję komuś się przysłużyć, to trzeba, bo to jest rodzaj takiej pałeczki sztafetowej, którą się przekazuje przez pokolenia.

Jerzy Markuszewski: Jeszcze chciałem ci na jedno zwrócić uwagę: w twoich książkach nie ma bohaterów negatywnych. Oczywiście, jest dobro, zło – ale nie ma ludzi jednoznacznie źle ocenionych. Czy się z tym zgadzasz, że unikałeś negatywnych bohaterów?

Tadeusz Konwicki: Zgadzam się, i na to się składa kilka powodów. Pierwszy powód: lęk przed pedagogiką. Tylko ludzie o mocnych charakterach, którzy chcą nas wychowywać, dzielą na białych i czarnych. Mną powoduje lęk, żeby nie przesadzić. A poza tym: jako fizyk amator wiem, że dobro i zło składa się na jedność naszej egzystencji. I też wiele razy miałem przykłady, że ludzie zdawałoby się wspaniali, szlachetni, załamywali się w jakichś okolicznościach, a ludzie, których mogłem podejrzawać o jakąś szaloną twardość i zawziętość, nagle, zniemacka okazywali się strasznie spulchnionymi wewnątrz, duchowo czułymi ludźmi.

Przyjemniej zresztą żyć w takim świecie niespodzianek, takim świecie, w którym na przykład zło pod innym kątem zobaczone okazuje się mieć wiele kryształków dobra w sobie.

Jak powiedziałem, ja nie mam dobrej pamięci i dlatego nie stać mnie na zawziętość. Czasem ktoś mi mówi: słuchaj, ktoś tam na ciebie coś napisał, zadziałał przeciwko tobie. Ja na to odpowiadam: ja nie mam siły, żeby zareagować, żeby się odwzajemnić niedobrym. Może to jest cecha podeszłego wieku. A może to refleks tej myśli, że wszyscy w tej rzeczywistości przez duże „R”, w tym jakimś istnieniu tkwimy i, jak mówią Rosjanie, nie warto o byle co łamać krzesła.

Przemysław Kaniecki

NOTA

Wywiad Andrzeja Koziola ukazał się w „Dzienniku Polskim”, w numerze z 5 V 1995. Jest to jedna z najważniejszych rozmów, jakie odbył w tym roku pisarz¹ – mający wkrótce ogłosić, że odkłada pióro literackie².

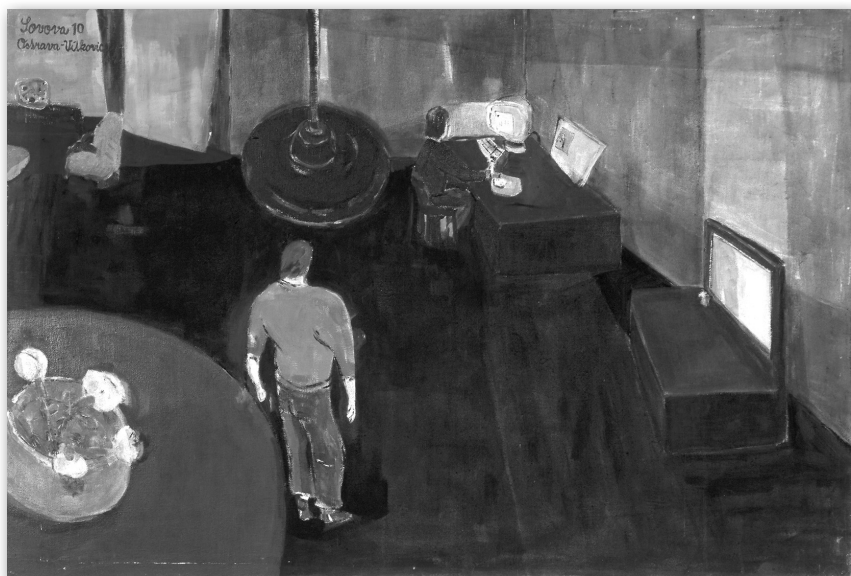
¹ Zob. także zwłaszcza: W. Kot, *Test wirtualny. Rozmowa z Tadeuszem Konwickim*, „Wprost” 1995, nr 48; *Byłe nie do myśli. Z Tadeuszem Konwickim rozmawia Aleksandra Szarlata*, „Sztandar Młodych” z 23 VI 1995; M. Mallessa-Drohomirecka, *Świat stanowi jedność. Rozmowa z Tadeuszem Konwickim*, „Przekrój” z 12 III 1995, nr 11.

² T. Konwicki, *** [odpowiedź na ankietę: „Po co piszę?”], „Kwartalnik Artystyczny” 1996, nr 2.

Rozmowy Jerzego Markuszewskiego z Tadeuszem Konwickim, wyprodukowane również w roku 1995 (przez Euromedia TV) emitowane były w Programie Drugim Telewizji Polskiej³. Tytuł niniejszego zapisu jest tożsamy z nazwą cyklu.

Oprac. Przemysław Kaniecki

Dziękujemy Panu Andrzejowi Koziołowi, Panu Maciejowi Markuszewskiemu, Pani Annie Brzywczy, Prezes Zarządu Euromedia TV Sp. z o.o., oraz Panu Jerzemu Kapuścińskiemu, Dyrektorowi Programu Drugiego Telewizji Polskiej, za wyrażenie zgody na wykorzystanie wspomnianych materiałów filmowych w naszej publikacji.



Hana Puchová, *Honza a Petra (Honza i Petra)*, akryl na płótnie, 85,4x125 cm, 2002

³ Ich zredagowane fragmenty były już także publikowane: por. *Patriota z nogą na hamulcu*, „Gazeta Wyborcza” z 22–23 VI 1996.